

TEMAT
TYGODNIA

- 10 Ewa Wilk
Plaga świętowania
12 Jędrzej Winiecki
Znikające samoloty

POLITYKA

- 16 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Sto dni premier Kopacz
18 Anna Dąbrowska
Numer Drugi w PiS

SPOŁECZEŃSTWO

- 20 Edwin Bendyk
Portret Nieznanego Polaka
24 Elżbieta Turlej
Poezja i proza zbrodni
26 Marta Mazuś
Rodzina 100+
28 Piotr Pytlakowski
Policja oszczędza, a przestępcy nie
30 Elżbieta Turlej
Matematyki da się nauczyć

RYNEK

- 32 Cezary Kowanda
Drugie życie staroci
36 Andrzej Lubowski
Czas naprawić kapitalizm

ŚWIAT

- 38 Artur Domosławski
KUBA–USA
Carlos Saladrigas – pogodzić systemy?
42 Andrzej Brzezicki
BIAŁORUŚ Łukaszenka
rublem przyciśnięty
45 Adam Szostkiewicz
UKRAINA
Prawosławie w czasach wojny

ESEJ

- 48 Adam Krzemiński
Noblista wyciąga trupy z francuskiej szafy

HISTORIA

- 50 Szymon Łucyk
Spojrzenie na Galicję bez różowych okularów



18 Brudziński – następca prezesa?



28 Policja zbyt oszczędna



38 Kuba wraca do łask



70 Oscarowi faworyci

- 54 Adam Szostkiewicz
Hipisi i ubecy w PRL

NAUKA

- 56 Przemek Berg
Zagłądanie w czarne dziury
59 TECHNOECHO
60 Mirosław Szreder
Wykształceni żyją dłużej

KULTURA

- 66 Rozmowa z Gają Grzegorzewską
o ciemnych stronach
pracy pisarza kryminałów
70 Janusz Wróblewski
„Foxcatcher” i inni kandydaci do Oscarów
73 Piotr Sarzyński
Bazary i szalety w pejzażu miasta
76 Justyna Sobolewska
Stanisław Barańczak – tłumacz totalny
78 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk

LUDZIE
I STYLE

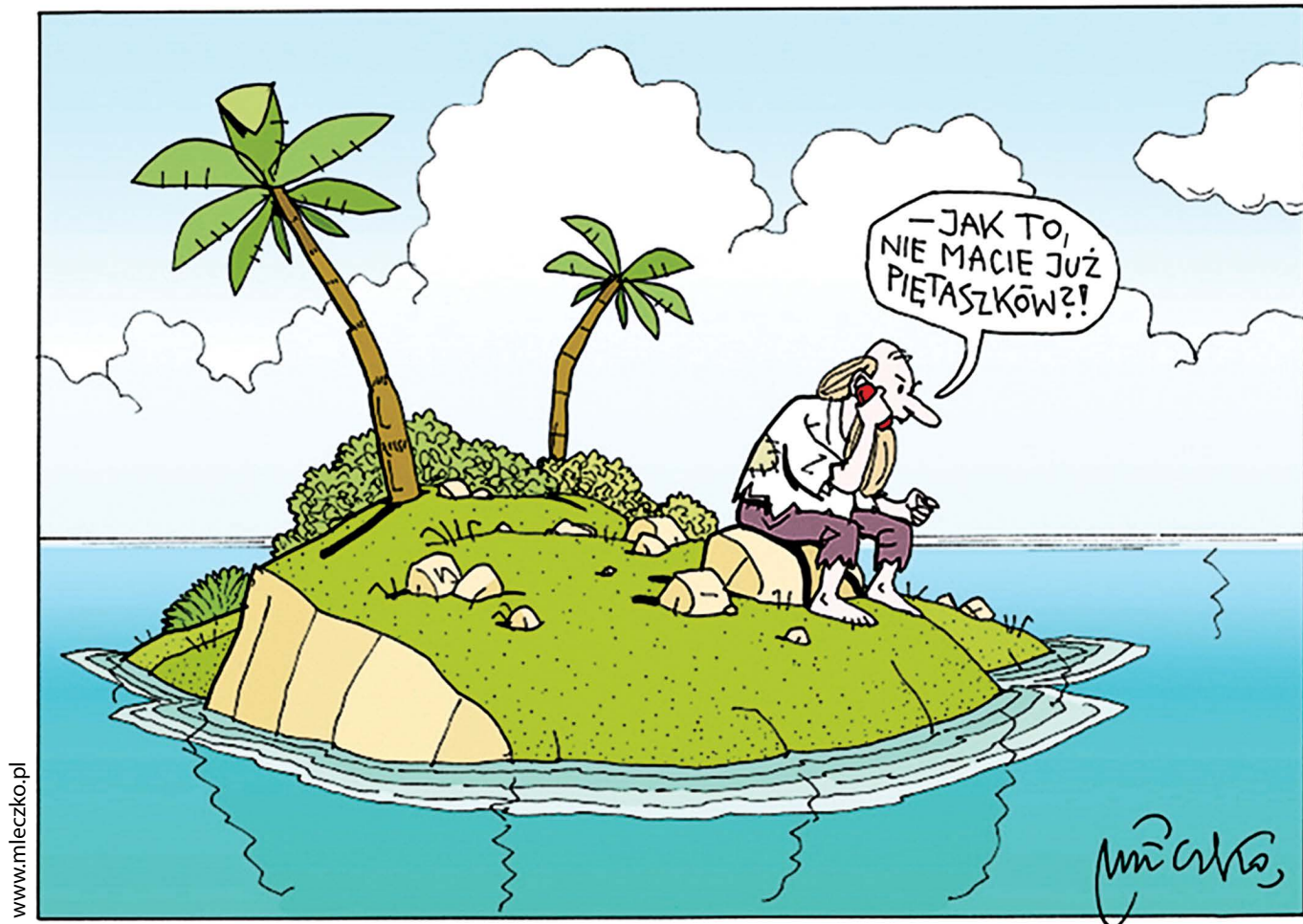
- 80 Maciej Okraszewski,
Barbara Pietruszczak
Fałszywa oliwa, podrobiona szynka
84 Bartek Chaciński
Epitety, inwektywy, bluzgi

NA WŁASNE
OCZY

- 92 Paulina Wilk,
fotografie Diab Alkarssifi
Libański skarb na kliszach

STAŁE
RUBRYKI

- 4 Mleczek i Mizerski
• 6 Ludzie i wydarzenia
• 62 Afisz • 86 Passent
• 87 Tym • 88 Hartman
• 90 Fusy, plusy i minusy
• 91 Do i od redakcji
• 98 Polityka i obyczaje



ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Przepowiadanie przeszłości

W dzisiejszych czasach szalenie trudno przewidzieć nie tylko przyszłość, ale i przeszłość. W naszym kraju przeszłość od lat rozwija się bardzo dynamicznie, obfitując w niespodziewane zwroty akcji. W tej szytej grubymi nićmi przeszłości coraz częściej mają miejsce zdarzenia, których wcześniej nie tylko w niej nie było, ale trudno nawet było sobie wyobrazić, że mogłyby być. Ocenia się, że nadchodzący rok nie przyniesie niczego dobrego, jeśli chodzi o bliższą lub dalszą przeszłość. Zwłaszcza przeszłość przypadająca na lata rządów koalicji PO-PSL rysuje się w coraz ciemniejszych barwach. Co prawda wtedy były one jeszcze latami rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego, a Polakom żyło się w nich całkiem nieźle. Niestety z upływem czasu stały się okresem politycznych afer, pogłębiającej się biedy i społecznego rozczarowania. Z każdą konferencją prasową posła Błasz-

czaka, posła Brudzińskiego i każdą publiczną wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego dochodziło w tych latach do rozkradania państwa, coraz większej arogancji władzy, aktów niebywałego politycznego chamstwa, a nawet zdrady.

Niedawno Jarosław Kaczyński poinformował, że w 2014 r. koalicja PO-PSL sfałszowała wybory samorządowe. Nie można wykluczyć, że niedługo poinformuje także o niebywałym fałszerstwie wyników wyborów z 2007 i 2011 r., które na razie nie zostały sfałszowane. Niektórzy oczekują, że przy okazji dojdzie do ujawnienia przez Jarosława Kaczyńskiego mało znanego faktu sfałszowania wyników wyborów wygranych przez PiS w 2005 r., czego Platforma dopuściła się tylko po to, żeby na chwilę zrobić PiS w rządzenie krajem, a potem móc przez lata straszyć Polaków powrotem PiS do władzy.

Można się spodziewać, że na skutek kolejnych konferencji prasowych Błaszczaka i Brudzińskiego oraz publicznych wystąpień Jarosława Kaczyńskiego w minionych latach będzie coraz gorzej. Są obawy, że Donald Tusk w niedalekiej przeszłości może dopuścić się afer i przekrętów, za które po dojściu do władzy PiS postawi go przed Trybunałem Stanu, a marszałek Sikorski wyłudzi z kasy Sejmu dalsze nienależne mu kwoty oraz zakupi z pieniędzy podatników kolejne drogie wina i porcje ośmiorniczek. Jeśli zaś idzie o plany na dalszą przeszłość, to wielu zwolenników PiS oczekuje, że kłamliwym redaktorom liberalno-lewicowych mediów głównego nurtu, którzy jeszcze nie mają rodziców będących w tej przeszłości wysokimi funkcjonariuszami UB, SB, KPP, pezetpeerowskimi dygnitarzami czy oficerami MO – w wyniku nowych publikacji niepokornych publicystów ci rodzice zostaną przydzieleni.



Ta reklama została dla Ciebie
okraszona zdjęciem z najbardziej
luksusowej kolekcji zdjęć

Chcesz poczuć się
jeszcze bardziej
premium?

Sprawdź leasing na samochody
o wartości **powyżej 150 tys.** złotych
już od 1% w Getin Leasing.

www.leasingpremium.pl

GET IN **LEASING**

Podana informacja nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

Zawarcie umowy leasingu i jej szczegółowe warunki każdorazowo uzależnione są od wyniku badania zdolności leasingowej (kredytowej) Klienta oraz warunków transakcji. Wszelkie szczegóły, w tym wysokość pobieranych opłat i prowizji oraz warunki uzyskania leasingu, dostępne są u doradców Getin Leasing S.A. oraz na stronie www.leasingpremium.pl

[Kup książkę](#)

Otoczeni euro



Wawrzyniec Smoczyński

Z początkiem 2015 r. Litwa przyjęła euro. W unii walutowej mało kto ten fakt zauważył – litewska gospodarka stanowi ledwie 0,36 proc. PKB całej strefy. Dla bliskiej przyszłości strefy ważniejsza była noworoczna zapowiedź Mario Draghiego, że EBC może już niebawem rozpocząć skup obligacji rządowych, by powstrzymać dalszą deflację. Ciekawsze jest to, że wejście Litwy do strefy odbiło się tak małym echem w Polsce. Oprócz Czechów wszyscy nasi unijni sąsiedzi przyjęli już wspólną walutę. Czy to sygnał, że zostaliśmy w tyle, czy może świadectwo ważnej powściągliwości?

Na 10 państw, które wchodziły do Unii razem z nami, siedem przyjęło już euro i chwali sobie wspólną walutę. Estonia po trzech latach członkostwa przypomina Holandię, Słowacja zasysa kolejne inwestycje przemysłowe, Łotwa z pomocą euro wyszła z kryzysu. Cypr byłby dziś rosyjską kolonią finansową, gdyby nie pomoc strefy sprzed dwóch lat, a Malta i Słowenia dzięki EBC nie muszą martwić się o swoje banki. Dla Litwy euro to potwierdzenie więzów z Zachodem w czasach rosnących obaw przed Rosją. Z naszej klasy poza strefą zostały trzy kraje – eurosceptyczne Czechy, antysystemowe Węgry i niezdeterminowana Polska. Czechy mogą wejść w każdej chwili, Węgrów nikt nie zaprasza, a Polska sama nie chce wchodzić.

Euro nie chcą Polacy – 68 proc. według ostatniego sondażu CBOS, nie chcą też polscy decydenci. Ewa Kopacz jasno powiedziała, że nie będzie wyznaczać daty wejścia; NBP w swoim najnowszym raporcie widzi więcej doraźnych zagrożeń niż szans dla polskiej gospodarki; nawet prezydent, który kilka miesięcy temu chciał być ojcem polskiego euro, z ostrożności przedwyborczej porzucił temat. A według projekcji POLITYKI INSIGHT szanse na zmianę konstytucji pod kątem akcesji będą w przyszłym Sejmie jeszcze mniejsze niż w obecnym.

Rychłe wejście Polski byłoby korzystne dla strefy – akcesja 38-milionowego kraju podbiłaby wiarygodność unii walutowej w dobie kryzysu bardziej niż siedmiu pozostałych państw razem wziętych. Przyjęcie euro podniosłoby polityczną rangę Polski, ale korzyści gospodarcze nie są już tak oczywiste. Małym krajom strefa daje schronienie przed wicherami kryzysów finansowych, a dostosowanie gospodarki realnej do działania pod reżimem wspólnej waluty jest stosunkowo proste. Dla dużych krajów uzysk w zakresie odporności na szoki finansowe jest mniejszy, za to ryzyko, jakie niesie wejście do strefy bez uprzedniego dostosowania gospodarki realnej – znacznie wyższe. Jednak litwa to nie złote.



© EPA/PAP

Grecja – idzie nowe?

Widmo przyspieszonych wyborów krążyło nad Atenami od jesieni. Już wtedy było pewne, że rząd nie zdoła przeforować w parlamencie swojego kandydata na prezydenta i zgodnie z konstytucją izbę trzeba będzie rozwiązać. Przyspieszając wybory, obecny premier Grecji Antonis Samaras chciał uniknąć niezręcznej koincydencji: że wykończeni kryzysem Grecy idą do urn w chwilę po tym, jak odchodzący rząd godzi się na dodatkowe oszczędności wymagane przez trojkę (Komisja Europejska, EBC i MFW), m.in. podniesienie VAT dla hoteli. Wybory pod koniec stycznia oznaczają, że trudne negocjacje z wierzycielami weźmie na siebie już nowy rząd. Kto stanie na jego czele? Kandydatów jest dwóch: dotychczasowy premier Samaras i szef opozycyjnej lewicowej Syriza **Alexis Tsipras**. Pierwszy z nich straszy, że drugi zniszczy odbijającą się powoli gospodarkę. Drugi zaś przekonuje, że dotychczasowa kuracja antykryzysowa nie działa i że najwyższy czas skończyć z oszczędnościami, które wpędziły w biedę 3 mln Greków. Samaras – zgodnie z dyktatem Brukseli i Berlina oraz oczekiwaniami rynków finansowych – zaleca cierpliwość i proponuje kolejne wyrzeczenia, Tsipras zapowiada, że jeśli zostanie premierem, to zacznie od wsparcia najbiedniejszych – chce podnieść płacę minimalną i kwotę wolną od podatku, a także zwolnić z opłat za prąd tych, którym go odcięto. W drugiej kolejności 40-letni przywódca Syriza proponuje rozmowy w sprawie redukcji greckiego zadłużenia i renegocjacji warunków porozumień z trojką, choć już bez groźby opuszczenia strefy euro. Syriza ma w sondażach lekką przewagę nad Nową Demokracją i poparcie w granicach 30 proc. To o wiele za mało, by liczyć na samodzielne rządzenie. A zbudować koalicję będzie niezwykle trudno, co oznacza, że możemy doczekać się powtórki z 2012 r., kiedy do wyłonienia rządu potrzebne było powtórzenie wyborów.

Opozycja na niby

Od wrześniowych wyborów parlamentarnych ani sprawującej w Szwecji od 8 lat władzę koalicji centrowprawicowej, ani też konkurującej z nią socjaldemokratom wspieranym przez zielonych nie udało się zdobyć wystarczającej do rządzenia większości. Kontrolę w parlamencie zyskała za to populistyczna partia Demokracji Szwecji z neonazistowskimi korzeniami, która groziła obaleniem każdego gabinetu, który nie zagwarantuje im ograniczenia imigracji. Powstały mimo to mniejszościowy rząd socjaldemokraty Stefana Löfvena już po dwóch miesiącach poniósł porażkę w głosowaniu nad budżetem i ogłosił rezygnację wraz z wyznaczeniem terminu nowych wyborów na 22 marca. Na szczęście świąteczna przerwa ostudziła nieco nastroje. Nowy premier wycofał wniosek o rozpisanie wyborów i zawarł porozumienie z opozycją (wykluczającą jednak populistów). Obiecała ona wstrzymać się od głosu nad budżetem, gdyby jej sprzeciw groził obaleniem gabinetu.

Rządy w Szwecji ma sprawować ta partia lub koalicja, która ma za sobą najwięcej mandatów, ale niekoniecznie absolutną większość. To tzw. Porozumienie Grudniowe, któremu nadaje się już historyczny charakter, uznane zostało przez część opinii za racjonalne, zwłaszcza że nowe wybory nie zmieniąby zapewne sytuacji. Niektórzy uważają jednak, że jest ono problematyczne wobec zasad demokracji opierającej się na rządach większości, ostro je potępiają jako wyraz antydemokratycznych tendencji niemal w chińskim wymiarze. A komentatorzy zagraniczni najczęściej zwracają uwagę, że dotychczas tak stabilna Szwecja teraz jest taka jak reszta świata.

Szwajcaria już nie wybuchnie

Zkońcem roku szwajcarska armia zakończyła jedną z największych operacji w swojej historii – rozminowała Szwajcarię. Przejścia graniczne, strategiczne mosty (w tym malowniczy **most Säkingen** z XII w.), drogi, lotniska, tunele (również Gortarda) – wszystko to mogło wylecieć w powietrze za dotknięciem przycisku w sztabie generalnym armii. Dziś już ten osobiwy system obrony jest nieprzydatny.

Początki zaminowywania Szwajcarii sięgają XIX w., ale na masową skalę rozpoczęło się ono podczas drugiej wojny światowej. Jeden scalony system powstał dopiero



© INTERFOTOFORUM

w 1975 r. Najlepiej zaminowana była granica z Niemcami, gdyż sądzono, że z tej strony przyjdzie radziecki atak wyprowadzony z NRD. W najciemniejszych latach zimnej wojny Szwajcarzy zaminowali ponad 2 tys. ważnych miejsc. Był to element doktryny obronnej – ładunki wybuchowe miały odstraszać wrogów, a gdyby już doszło do napaści, wysadzone obiekty zwolniłyby działania agresora. Armia szwajcarska miała wtedy opuścić miasta oraz garnizony i rozpocząć w Alpach wojnę partyzancką. Ostatni raz Szwajcarzy bili się w 1815 r. – z Napoleonem. Potrzebowali więc dwóch wieków, żeby dojść do wniosku, że są bezpieczni i zdemontować ładunki. Teraz obrona kraju ma się opierać na bardziej mobilnych systemach obrony.



© AP/EAST NEWS

Przewodniczący Xi piętnuje kapcanów

To pojęcie zrobiło w Chinach błyskawiczną karierę, aż trafiło na najwyższy szczebel. *Diaosi* zaczynało jako wulgarny blogowy epitet, jakim traktowało się pogardliwie całkowitego nieudacznika, kapcana (i dosłownie znaczy, wstyd powiedzieć: włosy na penisie). Młodego człowieka na podrzędnej posadzie, bez pieniędzy i urody oraz, z tego powodu, bez szans u koleżanek. *Diaosi* zabija czas przed komputerem, snuje romantyczne wizje, które nie mają szans się zmaterializować. Tyle że właśnie w takim opisie odnalazły się miliony młodych Chińczyków (według solidnych badań społecznych zamówionych przez koncern gier Giant: nawet 529 mln). *Diaosi* stało się więc autoidentyfikatorem i opisem beznadziei pokolenia, które awansowało do miast, ale nie ma perspektyw. Klepie biedę za 2–3 tys. juanów miesięcznie, wynajmuje klitki, bez szans na mieszkanie i ożenek. Brnie

w lata i depresje. To jest wypełniacz chińskiego kapitalizmu i produkt gigantycznego rozwarstwienia – ci bez znajomości, ustosunkowanych rodziców, komunistycznego pochodzenia, dziedziczonego statusu. Oni nie załapali się na wielki skok. I smędną o tym w internecie, pomstując na powszechną korupcję i nierówność szans.

Tego już było za wiele dla partyjnego „Dziennika Ludowego”, który skrytykował *diaosi* za dekadencję i lenistwo, wzywając młodych, aby postawili na „energię pozytywną”. A sam przewodniczący Xi Jinping podczas niedawnego głośnego już spotkania z twórcami kultury, w tym samym duchu, dał młodym internautom za przykład 33-letniego blogera Zhou Xiaopinga, który kulturyje treści patriotyczne, dumę narodową i jeśli ostro krytykuje, to Stany Zjednoczone.

Bilet na skandal

Czy to już świadoma strategia? Na kilka tygodni przed premierą film zaczyna wywoływać polityczne kontrowersje, często ewidentnie podkręcane przez marketingowców. Kilka rządów zakazuje jego projekcji albo grozi wojną producentom. A potem bilety na seanse kosztują na portalu e-Bay ponad 50 dol. Pod koniec roku taka heca rozegrała się wokół filmu „The Interview” (polski tytuł „Wywiad ze Słońcem Narodu”), satyry na współczesną Koreę Północną. Następny w kolejce jest „Exodus” Ridleya Scotta, pokazywany w Polsce od 9 stycznia. To oczywiście adaptacja biblijnej historii o Mojżeszu i ucieczce Izraelitów z Egiptu. Emisji filmu zakazały już trzy kraje: Maroko, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Egipt. Według tamtejszych rządów to nic innego jak „syjonistyczna propaganda”, pełna błędów na temat islamu i innych religii. Przywołani eksperci chcieli załagodzić spór, przypominając, że nie ma historycznych dowodów na istnienie Mojżesza, co oczywiście już wywołało furję w Izraelu. Swoją rolę odegrał sam Ridley Scott, który na zarzut, że w głównych rolach obsadził białych aktorów (Christian Bale jako Mojżesz), odparł, że „gdyby wybrał Muhammada Jakiegoś tam Skądś tam, nie znalazłby sponsorów dla filmu”. Garść niepoprawności politycznej, szczypta rasizmu, coś o islamie, krótki tekst w POLITYCE i pełne sale kinowe gwarantowane.



© IMPERIAL-CINEPIX

Nieporozumienie zielonogórskie



Joanna Solska

Ponad 1,5 tys. przychodni, które do końca ubiegłego tygodnia nie podpisały kontraktu z NFZ, traci swoich pacjentów. Z zamkniętych drzwi gabinetów niepracujących lekarzy rodzinnych ma zniknąć logo NFZ; przerwane zostanie elektroniczne połączenie placówek z funduszem. Jeśli zdecydują się znów starać o kontrakt – muszą przedstawić nową, aktualną, listę deklaracji osób gotowych się w nich leczyć. Tak mówi i tak grozi Bartosz Arłukowicz.

W sporze z właścicielami przychodni, zrzeszonymi w Porozumieniu Zielonogórskim, Ministerstwo Zdrowia się usztywniło. Po feralnym piątku, kiedy bezradni pacjenci odbijali się od zamkniętych drzwi protestujących przychodni, sytuacja się powoli normuje. Kolejne przychodnie, kontestujące zasady tzw. pakietu onkologicznego (POLITYKA 1), podpisują kontrakty. Takiej determinacji ministra Bartosza Arłukowicza liderzy Porozumienia Zielonogórskiego raczej się nie spodziewali; prędzej dymisji szefa resortu. Do tej pory styczniowe protesty okazywały się owocne. Po raz pierwszy nowo powstałe Porozumienie Zielonogórskie pokazało swoją siłę na przełomie 2003 i 2004 r. Wtedy lekarze pierwszego kontaktu odesłali spod drzwi 10 mln pacjentów. Protestowali przeciw-

ko likwidacji przez rząd Leszka Millera kas chorych i powstaniu scentralizowanego NFZ. W kolejnych latach walczyli o bardziej korzystne warunki kontraktów.

Porozumienie Zielonogórskie zostało założone w sierpniu 2003 r. przez świadczących podstawowej opieki zdrowotnej województw: lubuskiego, wielkopolskiego, dolnośląskiego, opolskiego i śląskiego. Z czasem zaczęli do niego przystępować także właściciele przychodni z innych regionów kraju. Nie ukrywali, że chcą stworzyć siłę będącą w stanie przeciwstawić się dyktatowi NFZ. Dbali, o co trudno mieć do nich pretensje, by kontrakty z NFZ gwarantowały im opłacalność prowadzenia przychodni. Błędem jednak jest nazywanie PZ związkiem zawodowym, to przecież związek pracodawców, głównie prywatnych. Organizacja biznesowa. W dodatku – nie jedyna. PZ jest jednak najmocniejsze (zrzesza prawie 30 proc. placówek) i najbardziej radykalne. Z zakusami na monopolistyczną pozycję w środowisku. To ono narzuciło konfrontacyjny sposób rozmowy, który – ku zaskoczeniu – podchwycił minister Arłukowicz. Ostatniego dnia 2014 r. ustąpić nie miała zamiaru już żadna ze stron. Niespodziewanie Jacka Krajewskiego, lidera PZ, zastąpił w negocjacjach Marek Twardowski. Zażądał więcej niż na początku rozmów: m.in. 20-dniowych urlopów dla przychodni, ich krótszej pracy w tygodniu i wprowadzenia opłat dla pacjentów „za otwarcie drzwi przychodni”, jak w taksówce. Narobił szkody, gdyż wielu pacjentów uznało, że PZ niekoniecznie występuje w ich interesie. Nowe, zaskakujące żądania przyćmiły te stare, zasadne obawy: że ryzyko zwiększonych kosztów operacji pod tytułem „pakiet onkologiczny” przerzucane zostanie na POZ.

Temu wejściu smoka (jak wkroczenie Twardowskiego do negocjacji nazwała część

środowiska lekarskiego) towarzyszyło więc zdziwienie. To są przecież postulaty – zwłaszcza ten o współpłaceniu – których spełnienie nie zależy od ministra. Poważny temat do dyskusji, ale nie w ostatnie dwa dni roku. O co więc chodzi Twardowskiemu? Czyżby o powrót do rządu po ewentualnej dymisji Arłukowicza? Marek Twardowski już był wiceministrem za czasów ministrowania Ewy Kopacz. Razem z nią przygotowywał ustawę refundacyjną. Odszedł po trzech latach, podczas kolejnego noworocznego protestu PZ, gdy przyszło mu stanąć po przeciwnie niż koledzy stronie barykady. Dziś znów walczy z ministerstwem.

Dziwić też może niespodziewana twardość Arłukowicza. W zeszłym roku dogadał się z Porozumieniem Zielonogórskim, spełnił część żądań, nie doszło do zamknięcia przychodni. Teraz najwyraźniej uznał, że ma za sobą ścianę. I wyjął z rękawa ostre narzędzie. Otóż część lekarzy, którzy do tej pory byli pracownikami protestujących przychodni, uznała, że nadarza się okazja, by z pracownika przekształcić się w przedsiębiorcę. Założyć własną przychodnię. Zwłaszcza że NFZ – jak nigdy – ułatwia teraz biurokratyczne procedury. A samorządy lokalne, pod presją rozwścieczonych pacjentów, gotowe są wynajmować nowym przychodniom lokale na bardzo korzystnych warunkach. Takich nowych przychodni pojawiło się pod koniec tygodnia 70. To niewiele w porównaniu z liczbą protestujących, ale z czasem może ich szybko przybywać. Jeśli placówki zrzeszone w Porozumieniu Zielonogórskim stracą publiczne kontrakty, nie ma mowy, by utrzymały się na rynku. PZ wyraźnie przeliczywało. Ale los ministra Bartosza Arłukowicza zależy od tego, po której stronie znajdują się społeczne emocje: czy opinia publiczna za winnych zamieszania uzna „nieudolny rząd” czy „pazernych lekarzy”.

Nikt nie chciałby być psem Terlikowskiego



Joanna Podgórska

Artykuł Tomasza Terlikowskiego, w którym – w imię wiary katolickiej – pozbawia on zwierzęta wszelkich praw, wzbudził sporo emocji, ale polemizować z nim poważnie nie sposób. Nie tylko dlatego, że jak zwykle mieści on prawo boże ze świeckim. Jeśli chodzi o poziom absurdu, Terlikowski przeszedł sam siebie. „Im więcej opowiada się o »prawach zwierząt«, tym częściej łamie się prawa ludzi”.

Mocne. Ale bez sensu. W jego ukochanym Średniowieczu o prawach zwierząt nikt nie opowiadał, a z prawami człowieka było

gorzej niż dziś. Z prawami dzieci było jeszcze gorzej; i to nie tylko tych, które, jak pisze, „dla niepoznaki nazwane są zarodkami”.

Zwierzęta nie mają praw – przekonuje Terlikowski – bo nie mają obowiązków. Choć sam czarno na białym stwierdza, że mają obowiązek oddać życie na kotlety dla jego wielodzietnej rodziny. Argument, że zwierzęta nie odczuwają cierpienia, trąci prymitywnym i archaicznym kartezjanizmem, z którym nauka dawno się pożegnała. Wypada najwyżej złapać się za głowę. Zresztą ciężar poważnej polemiki z Terlikowskim wzięli na siebie prawnicy publicyści, zaniepokojeni, czy aby należą do tego samego Kościoła. Tłumacza więc łagodnie Terlikowskiemu, że można opowiadać się za ochroną zwierząt, nie będąc jednocześnie

zwolennikiem aborcji i eksperymentów na ludziach; że katolik nie musi wybierać: albo dzieci, albo zwierzęta.

Można by jeszcze dodać do tego radę, mby lekturę Starego Testamentu traktować mniej dosłownie. Można się tam natknąć na przykład na zalecenie, by kamienować zgwałcone kobiety. Koronnym argumentem Terlikowskiego w batalii przeciwko prawom zwierząt jest zapis z Księgi Rodzaju, według którego Pan Bóg stworzył Terlikowskiego na swoje podobieństwo, a psów i kotów nie. Tylko jeśli potraktować to całkiem dosłownie, nasuwa się straszna myśl, że nie tylko Terlikowski podobny jest do Pana Boga, ale że Pan Bóg jest podobny do Terlikowskiego. A wtedy wszyscy mamy przechłapanie. Nie tylko zwierzęta.

Państwo tanie niesłuchanie

Miniony tydzień zdominowały prognozy na 2015 r., który ma być jednym z najważniejszych w polskiej polityce, zważywszy na podwójne wybory – prezydenckie i parlamentarne. Prognozy są dość jednostajne. Wybory prezydenckie wygra Bronisław Komorowski i jedyne pytanie brzmi: w pierwszej czy drugiej turze? Parlamentarne wygra albo Platforma, albo PiS, co nie musi mieć większego znaczenia, bo ostatnio bardzo liczy się koalicja PO-PSL, a ta pewnie wygra. Oczywiście ważne jest, kto będzie pierwszy i kto zacznie formować rząd. Nie ma jednak prognozy, że to PiS może go stworzyć. Ci, którzy spekulują, że PSL da się kupić PiS, są w zdecydowanej mniejszości. Piszący scenariusz, że rząd stworzą PiS i partia Korwin-Mikkego, próbują jakoś urozmaicić tę jednostajność prognoz. Przecież to z sojuszu Korwina i Macierewicza zrodziła się pierwsza uchwała lustracyjna, która w efekcie obaliła rząd popierany przez obu polityków, co nie wróży dobrze stabilności ewentualnego rządu.

Coraz większą gwiazdą polskiej polityki staje się Robert Biedroń. Jeśli media centralne nie zagłaszczą Biedronia na śmierć, będziemy mieli nareszcie prawdziwie lewicowego, pełnowymiarowego polityka, który po wypełnieniu swojego słupskiego czteroletniego kontraktu może stać się pożądanym liderem jakiegoś przyszłego ugrupowania. Nowy prezydent Słupska ma taką szansę, bo jednak doświadczenie samorządowe daje zupełnie inną perspektywę, a wydaje się, że jest obserwatorem uważnym.

Kto jednak wie, kim jest Marek Materek, lat 25? Do niedawna znali go głównie mieszkańcy Starachowic, którzy w wyborach samorządowych powierzyli mu prezydenturę. W drugiej turze Materek wygrał z dotychczasowym prezydentem Sylwestrem Kwietniem, za którym stał cały aparat SLD. Za Materką stała zaś nieliczna grupa przyjaciół wspierająca jego komitet. Bezpartyjny, bo w sierpniu ubiegłego roku Platforma w trybie przyspieszonym i nadzwyczajnym, decyzją władz centralnych, wyrzuciła go ze swoich szeregów, a zarząd powiatu, którego był szefem, po prostu rozwiązano i żadne uzasadnienia nigdy do Starachowic nie dotarły. Materek, wieloletni asystent eurodeputowanej Róży Thun, która wbrew swej partii popiera go nadal, najwyraźniej podpadł zbytnią samodzielnością, aktywnością, inicjatywami, które być może czyniły z niego silnego konkurenta w różnych partyjnych, i nie tylko, wyborach.

W ostatnich dniach roku prezydent Materek przebił się jednak na szersze forum nie tylko swoim wiekiem, ale pierwszymi decyzjami. Otóż radykalnie obniżył zarobki w miejskiej spółce wodociągów i kanalizacji. Prezesowi ściął pensję z ponad 15 do nie-



całych 10 tys. zł, wiceprezesowi z ponad 13 do 1,7 tys. z zapowiedzią, że jest to stanowisko do likwidacji, radzie nadzorczej też wynagrodzenia solidnie ograniczył. Sprzeciwów nie było. Materek jest w Starachowicach popularny, bo od dawna prowadzi tu szeroko zakrojoną działalność społeczną. Platforma, której oficjalnie namaszczonego kandydat w wyborach nie zebrał nawet 5 proc. poparcia, ma teraz kłopot. Właściwie powinna prezydenta Materka przeproszać za wyrzucenie z partii albo przynajmniej poważnie przyrzeć się działaniu struktur wojewódzkich w woj. świętokrzyskim, które generalnie w wyborach samorządowych poległy. Mieli znakomitego młodego działacza i wyrzucili go. Zaopiekowało się nim zresztą natychmiast Polskie Stronnictwo Ludowe, sam prezes Piechociński przed wyborami odwiedził Starachowice, by Materek poprzec. Prezes PSL systematycznie tworzy grupę młodych działaczy i choć prezydent Starachowic do żadnej partii się nie zapisuje i ogłasza, że jego poparciem jest ruch społeczny, to przecież wszyscy wiedzą, że współpracuje z młodym szefem struktur regionalnych PSL i marszałkiem województwa Adamem Jarubasem (też nadzieja PSL). Ludowcy udzielają więc ciekawej lekcji Platformie, ciągle rozrywanej rozgrywkami i ambicjami działaczy.

Decyzje prezydenta Materka mają walor dodatkowy. Otóż pokazują nam, co to znaczy „tanie państwo” i gdzie państwo jest tanie, a gdzie drogie. Okazało się, że prezes od wodociągów i kanalizacji w Starachowicach jest

wynagradzany lepiej niż minister konstytucyjny rządu Rzeczypospolitej, a wiceprezes lepiej niż podsekretarze stanu. Że jest opłacany lepiej niż prezydent miasta, to już rzecz właściwie bez znaczenia. Wynagrodzenia w administracji stanęły na głowie. I stają coraz bardziej, bo po raz kolejny płace w sferze budżetowej, w tym w administracji, a już szczególnie w tzw. erce, są zamrożone. I odmrozić je będzie bardzo trudno, bo gdyby miało się to dokonać zgodnie z prawem, czyli ze stosowanymi przelicznikami, musiałyby one jednorazowo wzrosnąć prawie o 100 proc. Jaka władza pozwoli sobie na taki krok?

W roku wyborczym czy w okolicach roku wyborczego, a nawet w latach względnie normalnych? To byłoby medialne samobójstwo. Mamy więc kolejny rok łapanki urzędników wysokiego szczebla (pani premier właśnie skończyła przegląd resortów i wymienia wiceministrów), dla których wabikiem może być jedynie adnotacja w CV, że w przeszłości było się jakimś ministrem czy wiceministrem. Innych zachęt w zasadzie brak. No, chyba że ma się jeden jedyne zawód – polityk, ale na wiceministrów trzeba raczej fachowców.

Ostatnie dni roku zwykle należą do ministra zdrowia i oczywiście wieloletniej tradycji stało się zadość. Porozumienie Zielonogórskie (czytaj też – s. 8), zwane coraz częściej organizacją biznesową, co chyba jednak lekarzom chwały nie przynosi, jak zwykle zastosoowało manewr z zamykaniem przychodni. Tym razem jednak żądania finansowe przekroczyły granice rozsądku i minister zdrowia powiedział: nie. Porozumienie Zielonogórskie trafiło zresztą na zły czas. Media są zalewane informacjami o pijanych lekarzach na dyżurach, o pacjentach pozostawionych bez opieki, o błędach diagnostycznych. To nie tworzy klimatu sprzyjającego dodatkowym żądaniom i ministrowi łatwiej jest stawiać opór, nawet jeśli w ostatnich latach nie popisywał się zbytnią aktywnością w przeprowadzaniu zmian. Czy zapłaci stanowiskiem za kolejne sylwestrowe zamieszanie? W moim przekonaniu nie powinien. Wreszcie wykazał się odwagą i determinacją.

Jan Koza





Śledzik w mango

Pracująca Polska po dwóch tygodniach świętowania wróciła do codziennego kierunku. Wiele osób z nieukrywaną ulgą.

EWA WILK

O dbyło się. Polacy powszechnie wierzą w sens tego, co się odbyło i na co średnio – jak zbadała firma Deloitte – jedna rodzina wydała 1158 zł. Pytani w badaniach socjologicznych, co nas łączy jako naród, niezmiennie odpowiadają: rodzinność oraz sposób, w jaki obchodzimy święta, zwłaszcza Wigilię Bożego Narodzenia. A jednak z poświętecznych zwierzeń wynika, że dla sporej liczby osób doroczna manifestacja narodowej tożsamości oznaczała serię dysgustów i dyskomfortów. Mordęgę, której kresu z roku na rok upatrują z coraz większą tęsknotą. Co się zatem w polskich domach odbywa i gdzie osadzają się niesmaki?

Czy trzeba było aż tyle zjeść?

Zacznijmy od dyskomfortu najbardziej dosłownego i trywialnego – gastrycznego. Polskie świętowanie znajduje wyraz we wspólnym jedzeniu. Obfitym. Nawet to wigilijne, teoretycznie postne, jest wyjątkowo suto, skoro trzeba skosztować 12 potraw. Dla poprawnie odżywiającego się człowieka, który przez cały rok z powagą traktuje zalecenia, by kończyć dzień skromną i możliwie wczesną kolacją, wieczerza jest praktycznie nie do przebrnięcia; po śledziu i karpie w galarecie niektórzy są w stanie przyswoić jeszcze pierogi i barszcz, koneserzy do trawiają do kapusty z grzybami, desperaci do kutii. Liczne z tych rzekomo prądawnych potraw o magicznym, zarezerwowanym tylko na tę jedną okazję smaku, jest zbyt wymagającym wyzwaniem dla kubków smakowych wielu osób, a pewnie większości

dzieci. Są tacy, których naprawdę odrzuca intensywność śledzia, mulista specyfika karpia, ciężkostrawność grzybów, wściekła słodycz klusek wymieszanych z makiem i miodem. A przecież wigilijne preludeum zaledwie rozpoczyna wielodniową (bo trzeba wszystko pokonać) symfonię na boczek i karkówki, chrzany i marynaty, a przede wszystkim kapustę i buraki.

Polska tradycja kulinarna ma swe źródło w zupełnie innej rzeczywistości niż ta, która jest dziś udziałem większości społeczeństwa. To żaden powód do wstydu, ale jakże niedawno wywędrowaliśmy ze wsi, gdzie obfitość i hiperkaloryczność świątecznego menu znajdowała uzasadnienie w warunkach życia, w klimacie, w rytmie pór roku, w widmie nieuchronnego przednówka. Zastawienie stołu aż do ugięcia się, tak „żeby wszystko było jak zawsze”, odbywało się zazwyczaj na przekór biedzie i niedostatkom, a czasy PRL niesłuchanie to umocniły, bo co zdobyte, załatwione, upolowane i wystane w kolejce, smakowało podwójnie. Smakowało – rzecz można – psychologicznie, bo stanowiło nagrodę za dzielność, za zaradność, za opór wobec gospodarki niedoboru. Było to pole, na którym realizowała się matka Polka, peerelowska spadkobierczyni tradycji, że świat się może palić, ale ona – choćby za cenę zdrowia i nieprzespanych nocy – ocali dom, nakarmi, napoi, przytuli.

Czy należało aż tak się naharować?

I oto dyskomfort świąteczny drugi – kobiece poświęcenie. Z badań Barometru Providenta wynika, że 81 proc. Polek uważa, iż ciężar przygotowań świątecznych leży na ich barkach. Ale nad kulturowym faktem, że tu właśnie kobieta ma do odrobie-

nia wielką lekcję, ciąży tradycja dużo starsza niż chrześcijaństwo i rytuały bożonarodzeniowe. Jak twierdzi Richard Wrangham, brytyjski antropolog, autor niedawnego bestselleru „Walka o ogień”, to właśnie poskromienie ognia przed 2 mln lat, a więc gotowanie pożywienia, „pchnęło rozwój kultury ludzkiej w kierunku zdecydowanie samczych potrzeb, a kobiety stały się ciężko pracującymi służącymi”.

Jane Collier i Michelle Rosaldo dociskają pedał, twierdząc, że na tym ogniu upiekło się tradycyjnie pojmowane małżeństwo: „hierarchiczna struktura i system zobowiązań kobiety zobligowanej do świadczenia usług na rzecz męża”. Z całą pewnością model funkcjonowania mężczyzny w polskim domu zmienia się: im młodszy, tym częściej i pomyja okna (jaskinię trzeba doprowadzić do perfekcyjnego ładu), i upolują, i ugotują, i podadzą do stołu. Według Barometru Providenta 41 proc. mężczyzn twierdzi, że ich wkład przedświąteczny jest równie istotny co partnerki. Wielu próbuje je odciążyć albo choć odwieść od zakrojonej na nieludzką skalę operacji porządkowo-aprowizacyjnej. Lecz bez powodzenia, gdy kobieta – podświadomie i atawistycznie – ulega przymusowi trzepania, glansowania, nakarmienia, sprostania oczekiwaniom. Coraz częściej oczekiwaniom, których nikt wobec niej nie ma. Jej „padanie na nos”, jej popuchnięte nogi i przekrwione oczy już nie imponują, raczej krępują i konfundują domowników i gości.

Czy warto było wyrzucić tyle pieniędzy?

Polskie święta, organizowane pod różnymi historycznymi czy wręcz prehistorycznymi presjami, dostały się przed ćwierćwieczem pod kolejny kulturowy walec. I tu dochodzimy do dyskomfortu trzeciego: prezenty. Polacy ową średnią kwotę wydatków świątecznych (1,1 tys. zł) obecnie rozdysponowują tak: na prezenty najwięcej – 575 zł, na jedzenie 475 zł, na kategorię nazwaną „spotkania towarzyskie”, czyli alkohol – 111 zł. Średnio rodak spodziewa się trzech prezentów, choć też 31 proc. spośród nas ich w ogóle nie oczekuje. Większość myśli, że bliscy oczekują, choć nie ma pojęcia, czego mogliby jeszcze oczekiwać (38 proc. spośród nas wkłada więc gotówkę w koperty, a są tacy, którzy zauważywszy w szafie nierozpakowaną od ubiegłej Wigilii koszulę męża, dopuszczają się podarkowego recyklingu).

Przedświątecznego szału zakupowego oczekuje od nas podobno gospodarka – w powszechną świadomość wgrzyzły się propagandowe zakłęcia, że kupując, dowodzimy konsumencieckiego optymizmu, co pociąga za sobą oczywisty wzrost PKB, sprawiając, że w przyszłości będziemy mogli kupować jeszcze więcej. Tysiące ludzi – by włączyć się w „koło zamachowe gospodarki” – decydują się na brawurowe kroki finansowe (8 proc. bierze świąteczne kredyty w bankach, a kolejne 5 proc. w innych instytucjach pożyczkowych).

Owszem, Polacy wypuszczają z portfeli na rynek ok. 29 mld zł na zakupy świąteczne i kolejne 10 mld zł na sylwestrowe. Ale też średnio w każdym innym miesiącu wydatki konsumpcyjne sięgają już ok. 90 mld zł. Takiego więc znowu – jak się dziś powiada – szału nie ma. Pomijając sprowokowane tłok, bieganinę i korki w miastach. W zasadzie nasza konsumencka zasługa polega na opróżnianiu magazynów z rzeczy okazjonalnie spakowanych. W nabywaniu ton kartonów i kartoników popakowanych w złotka, w czym celuje przemysł drogerijny (27 proc. polskich prezentów to perfumy i kosmetyki). W zaopatrywaniu się w dekoratorskie kicz i tandetę o rodowodzie amerykańskim, ale *made in China*, którym na wyścigi rozjarza się grudniowe ciemności nie tylko w domach, ale na balkonach, na tarasach, na drzewach, na latarniach.

Wreszcie – ów chwalebny czyn konsumencki wyraża się w obsypaniu kiczem i tandetą dzieci (choć 27 proc. Polaków uważa, że kupowane przez nich zabawki mają walor edukacyjny, a kolejne 16 proc. – że są kreatywne). Jest coś wzruszającego we współczesnej rodzicielskiej gotowości do spełnienia marzeń z dziecięcego listu do św. Mikołaja, a coraz częściej – listy precyzyjnych oczekiwań

od św. Mikołaja. Ale jest też w tym coś złowróżbnego, albowiem nie ma lepszego sposobu na sformatowanie idealnej ofiary konsumeryzmu. Psychologowie przestrzegają, jak niebezpieczne jest, jeśli trzy-, czterolatek powęźmie przekonanie, że wszystko na świecie jest osiągalne na życzenie, że trzeba mieć koniecznie to, co mają inni i co widzi w reklamach, że pieniądze biorą się z bankomatu, a nie z pracy. Rzecz nie tylko w tym, że wyrośnię z niego roszczeniowy nastolatek, ale też odłoży się to cieniem na dorosłym życiu. Nieuśmiejętność „odroczenia nagrody” wypycha ludzi w kredytowe korkociągi, w zakupoholizm, w żądę posiadania rzeczy, którymi niczym pawim ogonem próbują poprawić zewnętrzny wizerunek.

Czy należało się męczyć tzw. magiczną atmosferą?

Ale Polak kupuje, bo przecież chce widzieć radość w oczach dziecka, a pamięta, jak to było dostać coś wymarzonego (albo płakać, że się nie dostało). Święta, powiedzmy, w gruncie rzeczy są dla dzieci, dla ich wypatrywania pierwszej gwiazdki. Dla niepowtarzalnej atmosfery. No i jest dyskomfort kolejny: atmosfera. Wzór atmosfery oglądamy przez długie tygodnie w telewizyjnych blokach reklamowych. Preparowany jest z następujących elementów: salon z kominkiem i choinką, wszyscy ubrani na czerwono-zielono-biało, umyć, uczesani, uśmiechnięci, wręczają sobie coś (cukierki, suplementy diety, smartfony), wykazują entuzjazm poprzez przytulanie i całowanie. Dzieci – najlepiej w idealnych blond lokach – obowiązkowo.

Dzieci istotnie tworzą atmosferę, bo łakną magii i rytuałów ze swej dziecięcej natury. Jednakże bezprecedensowa przemiana demograficzna minionego wieku zdekomponowała rodziny (o rodzinie przyszłości piszemy na s. 26). Dzieci jest mało, coraz więcej osób sędziwych oraz singli z wyroku losu i z wyboru. W wielu domach trzeba odbywać święta w ryzykownym składzie: kontestujące ze swej natury nastolatki („po co ta cała szopka?”), kontestujące z natury starsze osoby („kiedyś to było!”), kuzyni – okazjonalni przybysze z odległych nisz kulturowych.

Czasem przychodzi kluczyć wśród rozmaitych raf, bo nie wiadomo, czyje poglądy, światopoglądy i orientacje obrazisz nieostrożnym słowem czy zbyt grubym żartem. Modlić się, gdy zgromadzona większość to niedowiarki i ateusze? Śpiewać kolędy, gdy ich dźwięki kojarzą się dziś bardziej z zapchanymi supermarketami niż z rodzinnym chórem? Może puścić jakichś niezawodnych Golców z telewizji, gdzie przed świętami i podczas świąt czołgani są wszyscy celebryci na okoliczność, jak to cudownie jest w ich domach. Iść na pasterkę, skoro od lat człowiek do kościoła nie chodzi? Jak podaje Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego, co piąty polski wierzący jest „katolikiem świątecznym”, czyli zjawia się w parafialnej świątyni od wielkiego dzwonu.

Duchowni ubolewają nad komercjalizacją świąt, rozmyciem ich religijnej esencji. Dla osób głęboko wierzących tandetyzacja rocznicy urodzin Boga z pewnością musi być bolesna. Ale jeszcze trudniej odnaleźć się w tym tradycyjno-ponowoczesnym chaosie osobom odległym od Kościoła. Nie jest tak, by wszyscy oni chcieli święta obalić, sprofanować, a najlepiej uciec od nich na jakąś Teneryfę (zresztą w tzw. resorcie człowieka dopadnie animator kultury przebrany za Mikołaja oraz wyrzuty sumienia, że zostawił w samotności starych rodziców). Większość pewnie chciałaby uszanować to, co dla innych jest wartością, ale nie popaść w hipokryzję. Odnaleźć nie tylko kłiwą, lecz także uniwersalną, metaforyczną treść w biblijnej opowieści o szlachetnej matce, jej dobrym partnerze i dziecku „okrytym rąbkami” w przygodnej stajence.

Czy da się trochę inaczej?

Święta są człowiekowi potrzebne. Rytuały z domieszką magii tworzą z nas społeczeństwa, więcej, są głównym wspólnotowym spoiwem. Jak mówił niedawno na łamach „Ja-My-Oni” Poradnika Psychologicznego POLITYKI prof. Michał Buchowski, dyrektor Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej w UAM ►